

Tomasz Sobieraj

OGRÓD JÓZEFA R.

Rzecz o szeroko pojętej pseudoawangardzie, ze szczególnym uwzględnieniem robakowszczyzny.

Współczesna tak zwana awangarda artystyczna, to nudne, słabo wyedukowane, zniewolone szare tłumy, bezkrytyczne wobec siebie i łase na poklask. Nie mogąc być awangardą w ścisłym słowa tego znaczeniu, próbują ją udawać stosownym zachowaniem, oczarowując pozorami ślepą myślowo krytykę, i wspólnie z nią, w celu dodania sobie powagi, wybierają autorytety, którym oddają cześć - tego już logika i semantyka nie zabronią. Takim lokalnym autorytetem, można rzec ikoną w branży multimediiów, jest Józef Robakowski. Stanowi on wzór artysty pseudoawangardowego, i, gdyby nie obiekcje natury etycznej tudzież estetycznej, mógłby się pośmiertnie znaleźć jeśli nie w Sevres, czego mu szczerze życzę, to przynajmniej w krajowym Instytucie Miar i Wąg. Jak przystoi ikonie, tkwiącej pośród powszechnej artystycznej i intelektualnej nędzy, jego wytwórczość jawi się jako elitarny, wysublimowany pod każdym względem, konsekwentny akt twórczy wybitnego i niezależnego artysty. Jego prace, idee, przesłania i teorie, wydają się nieosiągalne dla współczesnego artystycznego lumpenproletariatu, trwającego we wspólnocie duchowego, myślowego i warsztatowego ubóstwa. I chociaż zwalczam wszelkie przejawy antysztuki, geściarstwa, tudzież naiwnego konceptualizmu, uprawiane przez pana Robakowskiego, przyznaję, że poważnej konkurencji w swojej dziedzinie to on w naszym grajdole nie ma. Ale nie byłbym sobą, gdybym nie wylał nieco żółci na programowego przeciwnika - z należnym jego wiekowi i osiągnięciom szacunkiem.

Wytwórczość Józefa Robakowskiego przypomina mi zapuszczony wiejski ogród, pełen łopianów, pokrzyw, puszek po piwie, starych opon i innych śmieci, w którym czasem zdarzy się jakaś cudem uchowana lewkonია, a naiwny wróbelek, strosząc dumnie szare piórka, rozćwierka na całą okolicę, że już uwił gniazdko w tak przecudnej urody miejscu. Jednak, jak każdy ogród, także i ten ma swoją furtkę. Skrzątnie skrywana w płocie, gęsto zarośniętym bluszczem, po otwarciu, prowadzi nas na leżące odłogiem pola dadaizmu i konstruktywizmu, na których dziko wyrosła cała tak zwana współczesna awangarda, a wraz z nią, tuż przy sztachetach, rozsiała się robakowszczyzna - wspólne dzieło Józefa Robakowskiego i jego wyznawców. Jej istotą jest postdadaistyczna prowokacja, połączona z równie wtórną ideą konstrukcji w procesie, wywodzącą się z założeń porewolucyjnej sztuki radzieckiej początku XX wieku. Kierunek i cel poszukiwań sztuki tego okresu przedstawiła malarka i projektantka tekstyliów Warwara Stiepanowa, pisząc w roku 1921 przy okazji wystawy „5x5=25”: „Technika i przemysł stawiają sztukę przed zadaniami, które wymagają traktowania konstrukcji jako aktywnego procesu, nie zaś, jak przedtem, jako kontemplacyjnej refleksji. "Świętość" dzieła sztuki jako pewnej jednorazowej istotności będzie zniszczona. Muzeum, niegdyś skarbnica takich świętości, zamieni się w archiwum”. Słowa Warwary stały się ciałem, i mantrą kilku już pokoleń krytyków, działaczy, muzealników, nauczycieli, artystów, geściarzy, którzy zasłuchani w syreni śpiew radzieckich ideologów, nie dostrzegają jego zakurzonej monotonii. Dał się też zwieść Józef Robakowski, który w poszukiwaniu własnej drogi przybił do zatłoczonej przystani tak zwanej współczesnej awangardy. Czy to przez nieuctwo, czy przez lenistwo został zwolennikiem koncepcji, że przypadek i życie mają więcej talentu niż artyści, przyłączył się do tłuszczy skandującej naprzemiennie „życie jest sztuką” oraz „precz z rozumem” i został jej lokalnym przywódcą. W ten oto, jak mniemam całkowicie nieświadomy sposób, został wyznawcą naiwnej filozofii Bergsona, patrona apologetów twórczej intuicji, przypadku, radości czynu, potęgi życia i tym podobnych hasel, trącających momentami totalitarnym smrodem.

Robakowszczyzna, jako kolejna kopia dadaizmu i konstruktywizmu, i jak każda wtórność, ma gorszą od oryginałów jakość, nie dorównując im ideologicznie, ani nawet w realizacji, maksimum możliwości osiągając jedynie w nadęciu i puszeniu się. Awangarda początku XX wieku wyrosła z dokonań Rimbaud, Ducasse-Lautreamont'ea, Malewicza, sztuki chińskiej i afrykańskiej, ale była zdarzeniem istotnym, chociażby dlatego, że utorowała nowe drogi sztuce białego człowieka, eksperymentowała, dała pole do działania następnym pokoleniom i stała się niewyczerpanym źródłem inspiracji. Nawet dadaizm i futurizm były zabawne jako infantylne wybryki, i sprawcy, przynajmniej w jakimś stopniu, popularnego do dzisiaj surrealizmu. Jednak czas płynie, świat się zmienia, więc jak długo można z upodobaniem wyjadać resztki ze starego, przypalonego gara, zostawionego przez poprzedników? Nie dziwi, że robią to głodni sukcesu młodzi pseudoawangardziści, pozbawieni smaku, dyslektycy, dysgraficy i inni dys, wszyscy jednak niezdolni do przyrządzenia świeżej potrawy - brakuje im podstawowych składników: wiedzy, rozumu, wolności myśli, zdolności, indywidualizmu, odwagi i cierpliwości, a często także umiejętności. Bez tych rzadkich ingrediencji, skazani są na wyjadanie resztek z cudzego kotła, do tego niezbyt kulturalne, bo głośne i bez sztuców. Robakowskiemu, nauczycielowi, to jednak nie przystoi, tym bardziej, że niejednokrotnie stworzył prace wartościowe, jak chociażby Kino Własne, Termogramy, Fetysze, czym udowodnił, że stać go na pewną samodzielność. W najbardziej tragicznym momencie polskiej sztuki i krytyki, który teraz przechodzimy, te cykle nadal tchną świeżością, ironią, kpina, namysłem, nawet metafizyką, o których istnieniu pokolenie agresywnych pseudoawangardzistów i niedouczonej, ubezwłasnowolnionej krytyki nawet nie wie. Mimo skłonności Robakowskiego do manipulacji, zacierania własnego psychologicznego wizerunku i kokieteryjnej wręcz niechęci do publicznego uznania, nie udaje mu się wywabić z wielu swoich prac autoportretu człowieka wrażliwego, szczerego, namiętnego. Co więcej, zaprzeczając świadomie lub nie, swojemu artystycznemu programowi, dochodzi on niekiedy w pobliże sztuki czystej, nieintencjonalnej, czyli jej najwyższej formy, udowadniając, że potrafi być twórcą nieprzeciętnym, który nie zadowolony się byle jakim gestem, by zyskać poklask i uznanie - inaczej niż to czynią artyści kabotyni, np. Piotr Uklański czy Dorota Nieznańska, kuglarze spod znaku Łodzi Kaliskiej czy inni niezbyt błyskotliwi geściearze, lepiej lub gorzej umocowani, mniej lub bardziej cwani, uważani przez krytykę i media za prawdziwą awangardę, a ich wytwory, o zgrozo, za dzieła sztuki.

Czy zatem produkty Józefa Robakowskiego, robakowszczyzny, i sąsiednich grządek, są lub mogą być sztuką, choćby nawet wtórna? Cóż, to jedynie kwestia rozumienia pojęć. Przyjmując założenie najbardziej logiczne, czyli siłą rzeczy trudne i niepopularne, a mianowicie, że prawdziwa sztuka jest elitarna, rodzi się ze świadomości, jest aktem woli i rozumu, dopełnieniem wiedzy, nie zaś instynktownym, pozarozumowym działaniem, naiwnym pseudointelektualnym gestem czy przypadkiem, odpowiedź brzmi - nie. Z tej błyskotliwej tezy równie jasno wynika, że dosyć powszechnie uprawiane przez twórców i krytykę usilne poszukiwanie intelektualnych i artystycznych wartości w pracach będących odbiciem życia, wytworem niewiedzy, hucpy, przypadków, popędów i instynktów, jest równie sensowne jak wyprawa na pustynię w poszukiwaniu ryb. Nie można znaleźć sztuki w erozyjnym działaniu lodowca, muszkek, baranich bobkach i pisarstwie Doroty Masłowskiej. Wszelka twórczość pomijająca wiedzę i rozumienie (tudzież jej zwyrodniała forma, jaką jest rozrywka) nie może być sztuką, ma za to niebagatelne znaczenie terapeutyczne, na przykład w leczeniu depresji czy zaspokajaniu taniego snobizmu, zarówno twórcy jak i odbiorcy, co stanowi jej podstawową wartość. Jednak gdy wiedza i świadomość w akcie twórczym zaczną przeważać nad czynnikami pozarozumowymi czy zdarzeniami losowymi, piękno i sztuka pojawią się niezwłocznie. Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że to się musi zdarzyć raz na jakiś czas, nawet pośród pseudoawangardy.